

H. GeiŹe

# Ameryka śmieje się i płacze

# Teatr zbrodni

## Na scenie dramat — aktorzy — przestępcy

W ogromnym pokoju redakcyjnym, na trzecim piętrze przy 24 North William Street, siedzi przy małych stolikach 24ich reporterów. Słychać tylko m'arowy stukot maszyn do pisania. Boy redakcyjny cichutko biegnąc na palcach zbiera manuskrypty i zni ka z nimi natychmiast. Tu i ów dzie ktoś spogląda nerwowo na zegarek. Za kwadrans 10-ta. Numer się kończy.

— John!

— Kierownik działu miejskiego prosi pana.

Za chwilę wchodzi do obszernego pokoju. Z za biurka pada pytanie.

— Czy nie pojechałby pan do Głównej Komendy Policji? Wprawdzie nie nadzwyczajnego, ale kto wie, może pan tam znajdzie jakąś ciekawą historijkę.

— O key — odpowiadam.

W parę minut później przekraczam próg t. zw. „gimnazjum” w głównej kwaterze policji. Tutaj codziennie o godz. 9-iej rano odbywa się przegląd zatrzymanych w ciągu ub. nocy przestępców.

### Dział na scenie

Sceny, które się tu odgrywają nie przypominają zupełnie przedstawienia, a przecież są najżywszą, wydatną z życia kartą.

Na środku pozbawionego ozdób pokoju stoi scena. Oświetlają ją olbrzymie reflektory. Tu odbywają się tragedie, komedie i farsy, zmieniając się w błyskawicznej szybkości. Tu czasami można zobaczyć dramat tak odważnie skomponowany, jak nie odważył się uczynić tego jeszcze żaden dramaturg.

Na scenie wychodzi olbrzymi murzyn.

— Czy zabił pan tego człowieka?

— Tak, — pada martwa odpowiedź.

Murzyn, przez chwilę jeszcze stoi na scenie, a potem odchodzi gdzieś na bok. Dokąd...? Gdzieś tam w Sing-Sing znajduje się przecież elektryczne krzesło.

### Herolna

Teraz na scenę wchodzi młoda, dziwnie blada 19-letnia dziewczyna. Bładość lic i szyi podkreśla jeszcze bardziej krzyżący karmię ust, dziwnie grają światła reflektorów na jej drobnej, jakby wystraszonej twarzy.

— Skąd dostaje pani heroinę?

— To nikogo nie obchodzi.

I znów ją wyprowadzają. Tam

powie na pewno skąd otrzymała ten straszny narkotyk. Dla paru uncji heroiny za kilka godzin, gdy minie działanie zażytej dawki, byłaby gotowa zabić swego najlepszego przyjaciela.

Na scenie znów jest mężczyzna.

— Gdzie pan podział 178 dolarów, zabrane temu człowiekowi?

— Nie będę odpowiadał na żadne pytania, póki nie porozumiem się z moim obrońcą.

I ten też będzie mówił później. Porozumie się telefonicznie ze swoim obrońcą i za parę chwil wyspiewa badającym go agentom całą historię.

Każdego ranka odbywa się tu takie przedstawienie. Zawsze te same dramaty. Takie jednak różne od siebie. Publiczność tworzy 300 detektywów i paru dziennikarzy. Bez najmniejszego poruszenia, nie biorąc udziału w tragediach i dramatach tych ludzi, przyglądają się przedstawieniu.

### Ich „przedstawienie”

To jest ich przedstawienie, przedstawienie robione dla nich po to, aby poznawali nieomylnie wszystkich zawodowych przestępców. Dwie godziny dziennie przed oczyma zgromadzonych detektywów przesuwają się sylwetki co wybitniejszych przedstawicieli po dzielnicy New Yorku. W świetlanych reflektorach przesuwają się na tej makabrycznej scenie 12 tys. aktorów w ciągu roku.

### Mr. Sullivan bada

Tutaj prawdopodobnie po raz pierwszy w swoim życiu przestępca amerykański zdany jest na siebie i tylko na siebie. Tu musi pokazać, jakim jest aktorem. Ośmiem olbrzymich lamp rzuca oślepiające aż do bólu światło w jego niespokojnie biegające oczy. Twardy, mocny głos z głośnika stawia pytania i żąda odpowiedzi. Badania przestępców przeprowadza John J. Sullivan, inspektor policji, któremu podlega brygada detektywów. Stojąc na wzniesionej ponad poziom audytorium platformie, obserwuje spokojnie przesuwający się na scenie sznur przestępców.

Na twarzy jego nikt nie zauważył nigdy cienia współczucia, oczy mają zawsze ten sam stalo- wy błysk, mówi zawsze tym samym mocnym, nakazującym tonem.

### Akwizytor

Na scenie jest znów jakiś mło-

dy człowiek, oskarżony o usiłowanie włamania.

— Co pan robił w tym domu? — pada zimne pytanie.

— Jestem akwizytorem jednego z dzienników. Szukałem prenumeratorów dla mojego pisma — odpowiada prosto i jasno.

— O szóstej rano?

— Tak, chciałem porozumieć się z tymi ludźmi, zanim pójdą do pracy.

— A po co przy tym miał pan przy sobie wytrych?

— O tym nic nie wiem. Widziałem, jak wywiadowca wyciągnął wytrych z pod słomianki w sieni. Ale to nie jest mój wytrych. Ja nie wiem o żadnym wytrychu.

Głos jego jest nadal spokojny i prawdziwy. Mówi prosto, bez najmniejszych śladów zdenerwowania, a twarz zdaje się być symbolem wiarygodności. A może ten wytrych, to był po prostu kawałek drutu, który dozorca domu scho-

wał sobie pod słomiankę w korytarzu...? Pada jednak nowe pytanie.

— Czy był pan już kiedyś kara-

ny?

### Akta mówią

Młody człowiek milczy. Tylko wargi są bardziej zaciśnięte niż przedtem.

Inspektor czyta z akt: „Aresztowany w Pittsburghu w roku 1924. Rok więzienia za złodziejstwo; aresztowany w Altonie w r. 1926 — sześć miesięcy za usiłowanie włamania. Aresztowany w Binghamton w r. 1927 — sześć miesięcy za posiadanie narzędzi kradzieży. Aresztowany przy włamaniu w Chicago w r. 1930...”

Młody nie mówi nic, ale w tym samym momencie niewinny dobro- tliwy dotąd wyraz jego twarzy zmienia się w najstraszniejszą wściekłość i trwogę. Wyprowadza ją go. Następny...

# Benzynomierz wskazuje zero...

## Emocjonujący lot nad dżunglami Afryki

Ukazała się, wydana przez Trzaskę, Everta i Mchalskiego, jako 10 tom Biblioteki podróźniczej, ciekawa książka p. t. „Lot nad dżunglami Afryki”. Autor jej — Martin Johnson — jest twórcą słynnych filmów: „Congorilla” i „Baboon”. Książka zawiera opis wyprawy filmowej do Afryki, w wyniku której powstał film „Baboon”. Poda- jemy poniżej wyjątek z tej książki. (Red.).

### Benzynomierz wskazuje zero

„Benzynomierz wskazywał już zero i znów z napięciem oczekiwaliśmy przerw w pracy motoru, co znaczyłoby, że nasz lot miał się ku końcowi. Oczywiście, wiedzieliśmy z doświadczenia poprzedniego dnia, że zero na naszym benzynomierzu oznaczało w gruncie rzeczy poziom, znajdujący się trochę ponad zerem — słowem, że jeszcze nieco benzyny zostawało.

Mijała minuta po minucie i każdy obrót ryczących motorów mówił nam o ulatnianiu się naszej mizernej resztki benzyny. Poprzedniego dnia lecieliśmy może jeszcze jakieś osiem czy dziewięć minut, licząc od chwili, kiedy benzynomierz wskazywał zero, a następnie wylądowaliśmy z resztką benzyny, wystarczającą, jak oznajmił Borys<sup>1)</sup> na 10 minut utrzymania się w powietrzu. Ale teraz, kiedy mijały te minuty, zastanawiałem się, czy istotnie lecieliśmy wtedy osiem do dziesięciu minut od chwili, kiedy benzynomierz pokazał zero, czy też tylko nam się tak zdawało, dzięki naszej wyobraźni i czy Borys naprawdę zmierzył dokładnie i czy pozostało tam jeszcze benzyny na 10 minut lotu, gdyśmy wylądowali. Jeżeli dwa te przypuszczenia odpowiadały rzeczywistości, to moglibyśmy lecieć jeszcze jakieś 18 do 19 minut. W przeciwnym razie trudno powiedzieć, kiedy motory osłabną i staną i kiedy robimy się gdzieś pośród tych urwiskich i wijących się dolin i kanionów na tych stromych i skalistych zboczach górskich, lub wreszcie o drzewa rosnące tu i ówdzie w zwartej masie.

Mineło 5 minut, motory ryczały jeszcze cicho, mocno, gdy Wahi<sup>2)</sup> nie przejmując się bynajmniej niebezpieczeństwem zaglądającym nam w oczy, zszedł ze sterowego koła, gdzie zatrzymał się na chwilę i zwinął się u mnie na

<sup>1)</sup> Pilot, biorący udział w wyprawie Johnsona.

<sup>2)</sup> Mała małpka, ulubienica uczestników wyprawy.

drugą częścią koncertu obecny na sali Minister W. R. i O. P. prof. święto- sławski udekorował prof. dr. Chybińskiego krzyżem zasługi za wybitne zasługi, położone na polu szerzenia kultury muzycznej w Polsce. W imieniu bywalców audycji dziękował zarządcy S. M. D. M. p. Loth.

Michał Kondracki.

kolanach. Nie zwracałem na niego uwagi, ale mruczał coś rozkosznie prosząc o pieczętówkę. Poglaskałem go kilka razy, spojrzałem znów na benzynomierz i pa-



Królowa Wilhelmina holenderska na wywczasach w Austrii

# Konkurs na uczciwość

## Zas'rasza ący stan „kultury” w ZSRR

Złodziejstwo i analfabetyzm, panujące w Z. S. R. R., budzą niepokój nawet wśród prasy komunistycznej.

Redaktor dziennika sowieckiego „Swiatło Kołchozów” proponuje konkurs na najuczciwszego człowieka, tak uzasadniając swój projekt: „Nikt nie jest dzisiaj pewnym, czy któregoś dnia nie znajdzie się na ławie oskarżonych. By uniknąć takiego nieszczęścia, należy stworzyć współzawodnictwo: Kto będzie najuczciwszy? Od dziś każdy musi złożyć przyrzeczenie, że będzie uczciwym nie tylko w stosunku do innych ludzi, ale i wobec Państwa”. W dyskusji zabiera głos również „Prawda Północy”, pisząc: „Przeprowadzona niedawno w państwowych magazynach w Archangielsku ankieta wykazuje 46 wypadków niedozwolonego podwyższenia cen, 18 wypadków kradzieży, 188 wypadków przekroczenia przepisów handlowych, 108 wypadków niedostosowania się do przepisów higieny. Prócz tego znaleziono towary całkowicie zniszczone, które usiłowano mimo wszystko narzucić klientom”.

Oto kilka krótkich cytów, zaczerpniętych z prasy sowieckiej, świadczących o poziomie „kultury bolszewickiej”...

„Z 1.300 młodych służących, zarejestrowanych w dzielnicy Kubyżew w Leningradzie, 1.000 nie umiało ani czytać ani pisać lub też ledwie potrafiło sylabizować (Prawda Komsomolu, Nr. 242, 1936).

„Ankieta przeprowadzona pośród młodych robotnic fabryki „Krasnoj Bogatyr” wykazała, iż 1.600 z nich jest analfabetek. W pewnym miasteczku, zamieszkałym przez robotników, w pobliżu Moskwy, młodzi robotnicy muszą wstawać rano o godz. 4.30, zaś wracając z pracy dopiero o godz. 8 wieczór. Stanowi to 15-godzinny dzień pracy, zupełnie pacyzujący życie naszej młodzieży... (Prawda Komsomolu, nr. 236). „Wyższy Instytut Rolniczy w Archangielsku na 416 zgłoszonych kandydatów mógł przyjąć zaledwie 27, bowiem 389 pozostałych byli to zupełni analfabeci lub też analfabeci częściowi...” (Prawda Północy z dnia 12. 11. 1936).

trzymałem tępo przez okno na nie mającą końca dżunglę poaraną powierzchnię ziemi pod nami.

### Napięcie wzrasta

Mineło 10 minut i nawet Borys z trudem podtrzymywał już potok swych wesołych i zajmujących uwag. Wahi siedział teraz przy O-sie<sup>3)</sup>, która głaskała go spokojnie, nie nie mówiąc, pogrążona w myślach. Napięcie nerwów naszych wzmagalo się z minuty na minutę, ale choć to takie dziwne byliśmy coraz spokojniejsi. Nie było ani wyb'chów hysterii, ani objawów lęku lub bohaterstwa. Ot — po prostu siedzieliśmy, rzucając co per<sup>4)</sup> i czas jakieś słowo, nerwowo obserwując nieruchomy benzynomierz i spoglądając tępo przez okna.

### Upłynął już kwadrans

Upłynęło już 15 minut. Dziwne, jak długo trwał ten kwadrans. Ale chociaż czas, który minął, zdawał się być wiekiem i lecieliśmy mniej więcej 160 km na godzinę, wydawało nam się, że unosimy się poprzez atmosferę tak wolną i tak bez celu, jak puszek brodawnika. Góry, kaniony i do-

<sup>3)</sup> Osa — żona Johnsona, towarzysząca mu we wszystkich wyprawach.

liny przesuwwały się tak, powoli przed nami, że przypominało to zwolnione ruchy filmu i chociaż obrazy te zmieniały się stale, jednakże sprawiały na mnie wrażenie, jakby w gruncie rzeczy były ciągle te same, zmieniając jedynie kształty, jak ocean w czasie burzy.

### Tam jest jezioro<sup>5)</sup>

Sądziłem, że w ciągu 19 minut wyczerpiemy resztkę benzyny i z napięciem obserwowałem, jak wskazówka zegara zbliża się do 19 minut. Podpełzała coraz bliżej, bliżej, ale motory ciągle jeszcze warczały. Wreszcie 19-ta minuta nadeszła i minęła. Zaczęła się 20 minuta. Zdaje mi się, że w ciągu półtorej minuty, ani na chwilę nie przestałem obserwować wolno poruszającej się wskazówki. Ale nie mogłem patrzeć na nią dłużej. Spojrzałem w okno. Jasne światło na zewnątrz oślepiło mnie na chwilę, kiedy jednak zmrugałem, oczy, zdawało mi się, że widzę odłamek jakiegoś światła w oddali. Zmrugałem jeszcze raz oczy i wyjrzałem. Tam napewno coś było. Sięgnąłem po lornetkę, spojrzałem i potem usiłowałem przemówić do Borysa całkiem spokojnie:

— Borys, tam jest jezioro.

## Z sali koncertowej

# Dziesięciolecie

## Miłośników Dawnej Muzyki

Przed 10 laty grupa młodych muzyków warszawskich powzięła zamiar założenia Stow. Miłośników Dawnej Muzyki w celu stopniowego zaznajamiania społeczeństwa polskiego z wybitnymi dziełami mistrzów XV, XVII i XVIII wieków. Zdrowa inicjatywa, poparta energią i bezinteresowną pracą założycieli — entuzjastów, spotkała się z szerokim oddźwiękiem u publiczności. Audycje S. M. D. M., prowadzone systemem abonamentowym, (oszczędzającym kosztów reklamy) poczęły gromadzić coraz nowsze rzesze melomanów, spragnionych poznania arcydzieł dawnej muzyki. Fundusz Kultury Narodowej przyszedł z wydatną pomocą nowopowstałej organizacji, która rozwijała w tempie bardzo szybkim. Uruchomiono wkrótce własne wydawnictwo muzyczne, zapoczątkowując regularną publikację dzieł dawnych mistrzów polski ch, przez ważne zapomnianych (jak Mielczewski, Szarzyński, Gorczycki, Jarzębski i in.). To nawiązanie do pięknych tradycji muzycznych naszego kraju z przed 300 lat i wskrzeszenie drukiem oraz publicznym wykonaniem dzieł sztuki, stanowi jedną z najw'kszych zasług Stow. Mil. Dawnej Muzyki.

136 Audycji zorganizowanych przez T. Ochlewskiego, 16 zeszytów wydawnictw opracowanych pod doświadczonego kierunkiem prof. dr. Adolfa Chybińskiego oraz prof. K. Skorskiego, 20 zeszytów „Kwartalnika Muzycznego”, własna biblioteka muzyczna, kilkadziesiąt wykonanych utworów —

oto pion dziesięcioletniej pracy pionierskiej S. M. D. M.

Długoletni prezes Stowarzyszenia prof. B. Rutkowski w wywiadzie, udzielonym gazecie muzycznej powiedział: „Staraliśmy się przede wszystkim wyelminować na naszych audycjach moment popisowy: kładliśmy nacisk na wykonywaną muzykę, a nie na wykonawcę”. Wynikiem tego był wysoki gatunek programów a przeciętny poziom wykonawczy artystów S. M. D. M., zbliżony zbyt często do dyletantyzmu. Ta kardynalna wada koncertów Dawnej Muzyki jaskrawo uwydatniała się na jubileuszowej audycji w sali Konserwatorium, którą dyrygował jeden ze współzałożycieli S. M. D. M. mecenas T. Zalewski. Błąd polegał na tym, że wielkie zasługi organizacyjne i administracyjne można niekiedy samemu przekreślić przez niefortunne aspiracje artystyczne i wykonawcze, jeżeli brakuje niezbędnych dla estrady kwalifikacji.

Piękny program jubileuszowej audycji, zawierający takie arcydzieła jak Sonata Szarzyńskiego, Suite Bacha i „Te Deum” Haendla — nie był wykonany na poziomie właściwym. Po 10 latach pracy S. M. D. M. strona od- twórcza audycji ciągle jeszcze szwankuje. Radykalna poprawa tego stanu rzeczy powinna stać się celem i podstawowym dążeniem kierowników Stowarzyszenia w następnym dziesięcioleciu. Inaczej ważna i wielce pożyteczna praca S. M. D. M. będzie zawsze tylko połowiczną.

W przerwie pomiędzy pierwszą a

# Kueihua — miasto wielbłądów

## 50.000 „okrętów w pustyni” na szlakach karawanowych

Karawany wielbłądów, przemierzające dalekie pustynne szlaki, giną powoli, wypierane przez niepokonanego przeciwnika — samochód. Odkąd od dawnych, urokliwych wschodnich legend owianych, centrów handlowych Bagdadu, Timbaktu i Kiruanu prosta droga wygodna, nowoczesna autostrada, zniknęła z piaszczystych dróg karawanowych stada wielbłądów, wycofane do krajów środkowej Azji, jeszcze nie zdobytych przez nowoczesną technikę. Stare szlaki karawanowe ciągną się jeszcze w poszczególnych prowincjach chińskich i w pustyniach Mongolii, gdzie po dawnemu, jak za czasów Tamerlana, skrzypią ciężkie dwukolowe arby, przewożące dobytek nomadów z miejsca na miejsce. Na tych drogach, których ślad kopytami wielbłądzimi wydeptany w piaszczystym podłożu, ubitym deszczem, znaczy się na bezkresach pustyni, spotkać można stada dwubarbowych wielbłądów, ciągnących różnym dobytkiem ładowane wozy kupców czy ubogich mienie miejscowej ludności.

Punktem węzłowym dróg karawanowych w tej części świata jest miasto chińskie Kueihua. Skąd idą główne szlaki na zachód do Turkestanu. Niektóre z karawan przemierzają drogi do 3000 km. Rocznie przez Kueihua

przechodzi ponad 50.000 wielbłądów. Większość karawan wyrusza w marcu, co pozwala łatwiej rozwiązać zagadnienie żywienia zwierząt pociągowych, którym stepowa roślinność, bujnie rozwinięta pod wpływem ciepłych promieni wiosennego słońca, dostarcza obfite ilości pokarmu.

W marcu miasto Kueihua zamienia się w wielkie targowisko, w którym wre praca od świtu do nocy. Kupcy miłoścy i przyjeźdźni ze wszystkich stron kraju załadowują transporty karawanowe. W mieście dokonywują się miliony obrotów. Pracownicy zawsze Chińczycy nie znają w tym czasie snu ani wypoczynku. Rozgwar tysięcy głosów, niecierpliwe nawoływania kierowników karawan i poryki stad wielbłądzych czynią zgiełk, jak na „wschodnim jarmarku”. Ostre wyziewy tysięcy zwierząt czynią pobyt w Kueihua dla Europejczyków nieznosnym. Poszczególne transporty, zmierzające w tym samym kierunku, łączą się dla bezpieczeństwa w wspólne karawany, liczące niekiedy ponad 1000 wielbłądów i tyleż co najmniej obsługi, dobrze zaopatrzonej w broń i amunicję, by obronić się przed częstymi w tych stronach napadami zbrojnymi.

### PODRÓŻUJ SAMOŁOTEM

Na wyekwipowanie karawany, złożonej ze stu wielbłądów, trzeba już dość znacznego kapitału. Kupcom Kueihua, zdaje się, nie brakuje go nigdy, gdyż często mobilizują oni kilka ciągów karawanowych po 1000 i więcej wielbłądów.

Życie ludzi i zwierząt na tym karawanowym szlaku jest niełatwe. Życiu człowieka zagrażają liczne niebezpieczeństwa, nie rzadko od bandytów, w okresie nieustannej wojny domowej, jaka od szeregu lat pustoszy kwitnącą prowincję chińską, od pjadujących oddziałów żołnierskich i wreszcie od dzikiego zwierza, który czyha na każdego śmiarka, oddalającego się od karawany. Los wielbłądów jest nie mniej ciężki. Młode towarzyszą przez trzy lata swym rodzicom we wszystkich podróży. W czwartym roku przyłącza się wielbłąda do służby w karawanie i noszenia ciężarów, najpierw na krótszych przestrzeniach. W 7 roku życia wielbłąd może już być użyty do „wielkiej drogi”, to jest do dźwigania towarów tysiące kilometrów poprzez wichry i burze, czy palącą spiekotą stoneczną. Po 5 latach takiej służby zwierzę idzie na „łaskawy chleb”, sprzedane miejscowym rolnikom, którym służy przy pracach rolnych, dochodząc niekiedy do 80 lat.